

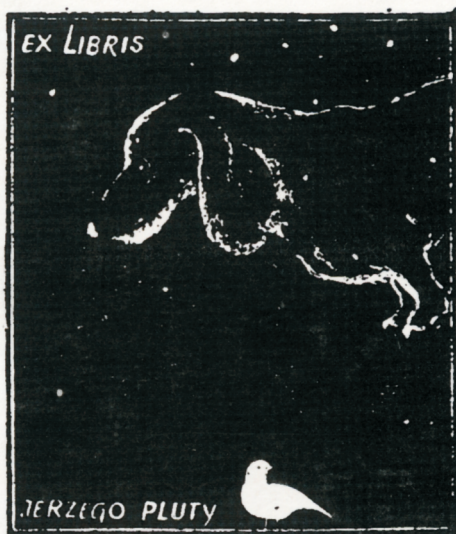
Przełom

Małe prozy
i marginalia
Jerzego Pluty

Wrocław

Vratislav / Breslau

Seria II



St. Korytko

5/1998

Zwolennicy przecinka i mecenasi „Przecinka”

Przecinka na razie nie można zaprenumerować w „Ruchu” i na pocztę (na zamówienia listowne i telefoniczne egzemplarze wysyła REDAKCJA), natomiast można (zachęcam!) hojnie wesprzeć PISMO złotówkami i dukatami (każdy mecenas otrzyma odręczne podziękowanie na papierze czerpanym z Dusznik Zdroju i kolejne nry) wpłacając dowolną sumę na konto:
Jerzy Pluta Wrocław
PKO BP-I O/Wrocław
nr 10205226-13970-270-41.

Ponadto, oprócz darów pieniężnych, REDAKCJA przyjmuje dary w naturze (np. komputery, koparki, faksy, koperty, znaczki pocztowe, długopisy i ołówki)... Wszystkim mecenasom z góry dziękuje

red. Piotr Cyryk

Wydanie „Przecinka” wsparli:

Jan H., Jelenia Góra	200,00 zł
Pierre Tarin, Paryż	44,26 zł
Amelia Żymła, Wrocław	13,00 zł
XY, Kraków	30,00 zł

Na s. 1 okładki ekslibris Stanisława R. Kortyki
(z 1974 r.).

Pracytatem w garzeie!

placnego tak
malo herbaty,
a tak duzo kartofli?

Jedzenie w UOP

▶ 26 października – funkcjonariuszowi UOP przysluguje dziennie pół jajka i jeden gram herbaty. Podstawowa norma wyzywienia to takze m.in.: 670 g pieczywa, 100 g przetworow zbozowych i strączkowych, 40 g przetworow rybnych w przeliczeniu na filety z ryb, 700 g ziemniaków, 2 g kakao i 15 g przetworow owocowych w przeliczeniu na dzem.

Zarządzenie szefa Urzędu Ochrony

Państwa, Monitor Polski nr 73

z 11 października, poz. 699

(1997)

My, zjadacze kartofli...

Nigdy nie jadamy ziemniaków, zawsze kartofle. Jak Wieszczy Adam (Kartofla), jak wieszczę Jul młodszy (Zjadacze kartofli). Gdy ktoś w czerwcu podsuwa nam na talerzu ziemniaki, to tłumaczymy sobie od razu: to młode kartofelki. Gdzieś tam, prawie nad Bałtykiem, ponoć stoi Pomnik Ziemniaka, a my i tak przepadamy za kartoflanką na wędzonym boczku. Nos masz jak kartofel, przygadał mi kiedyś znajomy. No to co? Ale nie napycham się, jak ty, ziemniakami. Czy placki kartoflane smakują ci bardziej niż ziemniaczane? – pyta mnie poważnie przedszkolaczka Zosia. Oczywiście. Francuzka Marysienka Sobieska delectowała się kartoflem, natomiast sto lat później na obiadach czwartkowych goście króla Stasia – miłośnicy swojskości i znawcy języka francuskiego – rozkoszowali się ziemniakiem, czyli *potomme de terre*. Nigdy w życiu nie głodowałem: w domu (rodzinnym, obcym i własnym) zawsze były kartofle. Dowodzi etymolog, że polski kartofel to niemiecki *Kartoffel* (wcześniej także: *Tartuffel*); to pożyczka z włoskiego: *tartufolo* (zapewne z łaciny: *terrae tuber*), czyli trufla. Kartofel w XVI wieku podobny był do truflif? Nigdy nie widziałem/nie jadłem truflif. Czy to naprawdę taki rarytas? A trufla smaczniejsza od kartofla pieczonego w ognisku z suchych naci kartoflanych? We wrześnieiu.

Jul Karta

Przecinek

Małe prozy
i marginalia
Jerzego Pluty

5

Wrocław/Vratislav/Breslau

Redaktor: Piotr Czyżyk

1998

Seria II: dla zjadaczy kartofli i słow(n)ików *© Copyright by Jerzy Pluta *
Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved * Zezwolen na przedruki
(lub tłumaczenia) udziela REDAKCJA: 53-533 Wrocław,
ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (071) 61 75 39*

Wydawca: na zlecenie Jerzego Pluty – USŁUGI WYDAWNICZE Ernest Dyczek, 54-206 Wrocław, ul. Legnicka 156/4, tel. (071) 51 63 19. Nakład 300 egz.

Od redaktora

Jedziemy dalej! Szef się opamiętał, nie wyrzucił mnie z redaktorskiego fotela (od marca 97 r.: obrotowego!) i nadal zajmuję się *Przecinkiem*. Miał pretensje, że nie znalazłem poważnych mecenasów, a co on zrobił? Mam nadzieję, że zeszyty drugiej serii będą się pojawiać kilka razy w roku. Z. 5 ukazuje się za częściowo pożyczone grosze, ale mniemam, że mecenasi, którzy obiecali kilka dukatów, nie okażą się „poetami”...

Co się zmienia? Przede wszystkim pojawia się nowa nazwa serii. Dlaczego tak się nazywa? Pryncypał dziwnie (i mętnie) mi to tłumaczył, w końcu (widząc moje otumanienie) napisał uzasadnienie, którego i tak nie rozumiem. A poza tym? Niewiele się w *Przecinku* zmienia. Nadal i wciąż drukowane są jedynie teksty Jerzego Pluty (i moje dopiski, wszak redaktor też ma jakieś prawa) oraz materiały z jego domowego archiwum.

Czyli: w drogę, to nic, że na hulajnodze, w drogę, a ty, mój praprzodku, czyżyku, leć, a śpiewaj ulubione przez Szefa skrzydlate słowa Dantego, spopularyzowane przez pewnego filozofa i marzyciela (którego nazwiska strach wymieniać, bo można zostać zbluzganym najwulgarniejszymi słowami, nie tylko przez „prawdziwych Polaków” i „prawdziwych filozofów”) w takiej wersji: *Idź swoją drogą, a ludzie niech mówią, co chcą!*

Sobocki/Kortyka

To Zdzisław Sobocki dał mi latem 1983 r. zdjęcie swego rysunku – do dowolnego wykorzystania ekslibrisowego. Potem Stanisław R. Kortyka (nagabywany przeze mnie, chyba na zbyt nachalnie, teraz to widzę jak w kinie) wypisał literki, zamówił matrycę i odbił na własnej prasie kilkadziesiąt ekslibrisów. Jest to więc wspólne dziełko grudziądzko-wrocławskie, które wciąż i wciąż mi się podoba.



Dlaczego nie skrobnałem/nie napiszę opowiadanka/epopei/poematu itd. etc. o powodzi 97?

Spytał mnie, chyba w listopadzie 1997 r., pewien znajomy, czy skrobnałem już (właśnie tak!) opowiadanko o powodzi. Mocno się zdziwiłem i odpowiedziałem zaczepnie: a może powinienem napisać epopeję, albo poemat? A dlaczego by nie? – zaczął się entuzjazmować... Może kiedyś, po latach – dodałem pojednawczo. Jeszcze w 1997 r. ukazało się kilka książek o powodzi (m. in. albumy fotograficzne), kilka instytucji ogłosiło konkursy na reportaż i wspomnienie o dniach lipcowych. Natomiast dotąd nie czytałem np. wierszy, że wielka woda płynie.

A ja? Czy ktoś czeka na opowiadania i poematy o powodzi? Może ci, co budowali barykady i wały z worków? Potomni? Wielka powódź jako temat literacki? Tak, np. **Stary Faulknera**. Tak, to pewnego rodzaju wyzwanie dla pisarzy. Dla mnie nie będzie. Dlaczego?

Od 2 lat Wrocław przygotowywał się do światowej imprezy, czyli do Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego. Odnowiono wiele zaniedbanych obiektów, przebudowano Rynek, rozbudowano lotnisko itd. Hierarchowie kościelni i dostojnicy miejsca zgodnie zapowiadali, że będzie to najważniejsze wydarzenie wrocławskie 97. I tak było do początków lipca... Bo oto po raz pierwszy w ponadtyślatniej historii Wrocławia było tu naraz tylu kardynałów (32) i biskupów (300) – i to wraz z Piotrem Naszych Czasów. Gdy papież 1 czerwca celebrował mszę obok hotelu „Wrocław” (a więc tylko 300 m od mego bloku), to (oglądając transmisję telewizyjną) miałem wrażenie, że odbywa się ona gdzieś daleko. Wiem, działo się w tych dniach coś wielkiego, a zarazem i nazbyt ceremonialnego (za dużo pustych słów, za dużo policji, za dużo triumfalizmu). I to się być może JHWH nie spodobało...

Od 7 lipca już tylko o wielkiej wodzie: Kłodzko zalane, Nysa podtopiona, Racibórz pod wodą, zachodnie Opole odcięte od centrum. W czwartek, 10 lipca, i we Wrocławiu zmieniła się atmosfera: widzę, że ludzie wykupują wodę mineralną, komentują, dowcipkują. W piątek było już wiadomo, że Odra zaleje niektóre dziel-

nice. W sobotę, 12 lipca, rano brakło w kranach wody (mamy pełną wannę – dobra nasza!), a potem już tylko wieści, że z godziny na godzinę wody w Odrze, Olawie i Ślęży przybywa: zalane podwrocławskie wsie, zalane południowo-wschodnie osiedla, potem Kozanów, Popowice, wieczorem woda pod Dworcem Głównym, już płynie główną ulicą – Piłsudskiego. Siedzę w domu, słucham radia, oglądam relacje telewizyjne. To naprawdę u nas? Woda już 200 m od naszego domu... Ale jestem spokojny: na I piętrze nic mi nie grozi. W niedzielę nie mogłem się nawet zbliżyć do barykady przy Zieślińskiego/Kolejowej, za dużo gapiów, wciąż przybywa worków z piaskiem (i M. przez kilka godzin sypała piasek do worków). Nic nie zobaczyłem. Potem już tylko przed telewizorem: oto zalany Wrocław widziany z helikoptera. Czy to naprawdę u nas? Wiem, że 300 m od mego mieszkania, na Piłsudskiego, nurt tak wartki, że przewraca roślących mężczyzn, że niektórzy na innych „ulicach” pływają łodziami, kajakami, pontonami. Na Kozanowie – wojskowe amfibie. Widzę to wiele razy, ale tylko na ekranie, a telewizja – wiadomo – jest zimnym środkiem przekazu. Najpierw się mówiło o powodzi stulecia, potem – już po 14 lipca – o powodzi tysiąclecia. A Odra (od tysiącleci, od tysiącleci) płynie, płynie do Bałtyku daleko...

Wiem: działa się scena przerażająca, to właśnie oko kamery uchwyciło najważniejsze momenty, nawet Homer musiałby zamilknąć. A zarazem miały mną sprzeczne uczucia: wszystko widzę, to straszne, ale to gdzieś daleko (telewizja niemal codziennie pokazuje powódź w Chinach, Indiach, Ameryce). Wszystko oglądałem, a jakbym niewiele widział! Nie nosiłem worków z piaskiem, nie widziałem naocznie pływających na Sądowej akt, nie patrzyłem na szeroko rozlaną Odrę. Popatrzyłem własnym okiem, pobrodziłem w brudnej wodzie, powąchałem mokre worki – tego mi trzeba było. Więc nie napiszę opowiadanka. Ani powieści. Jak nie napisałem np. ani jednego zdania o corocznych, wielkich powodziach w Bangladeszu.

Widzę z balkonu

Ktoś zostawił otwartą książkę w brązowej oprawie na ławce pod oknem. Widzę z balkonu jak wiatr przewraca kartki to w jedną, to w drugą stronę. Mówię: cici, cici, piwniczny kot patrzy na mnie podejrzliwie. Pytam M., czy będzie padać, odpowiada niechętnie: nie wiem. A ja nie wiem, czy wyjść na spacer, czy też poczekać: ciemne chmury wcale nie muszą się rozpląkać, mogą popłynąć na południe, w kierunku gór, które jeszcze sto lat temu niektórzy poeci nazywali Górami Olbrzymimi, a teraz na najwyższy szczyt można dojechać jeepem, a nawet nyską, a które dla Szwajcarów (kiedyś pokazywałem gościom z Genewy karkonoskie grzbiety) są tylko pagórkami, na które nie warto się wspinać. Książka spadła na chodnik, lepiej siedzieć w domu: to bum jest krótkie i jednoznaczne.

(97)

Toffi

Bardzo mi kiedyś smakowały cukierki toffi, takie kilkuwarstwowe, mleczno-owocowe. Chyba M. też lubi, ale od niedawna nie przynosi ich do domu, chyba nie ma w sklepie, albo nie szuka gdzie indziej. Toffi także wyszły? Nie muszę wychodzić z mieszkania, by przypomniano mi o toffi; słyszę jak kilkunastoletnia dziewczynka (albo kiedy indziej jej babcia) woła na psa: Toffi, Toffi, cho no tu! Tooooofffiiii! Gdzieś tam biega sobie między blokami. Jakoś nigdy dotąd go nie widziałem: dochodziłem do okna/wychodziłem na balkon za późno, nawet nie wiem, która to dziewczynka wykrzykuje wesolutko: Toffi, do nogi! Kiedyś teść go zobaczył, gdy siedział na ławce pod domem, potem się dziwił, że nazwano go tak pieśzczołliwe, a to (dodawał) prościuch, jakaś krzyżówka jamnika z burkiem, gdzie mu tam do naszego rasowego jamnika, mającego rodowód od ośmiu pokoleń (zaraz muszę dodać: nieżyjącego już od kilkunastu lat). Tato, co ty gadasz, Toffi też słodki, wtrąca się M.

(97)

Widziano go podobno nad morzem

Powtarzano nam przez wiele lat, że kiedyś dawno temu nas odwiedził, już jesteśmy wyróżnieni na wieki, więc gdy pewnego majowego poranka przyjechał – nie wiadomo skąd – zabrudzonym autem dwudrzwiowym, zapewne kradzionym, nikt go nie witał. To sobowtór, powtarzano, śmiano się z jego długich włosów (u nas teraz modne są rekruckie). Nazajutrz go aresztowano (tymczasowo, dodawał rzecznik burmistrza) za podburzanie przeciwko władzy, a także za brak dowodu osobistego i prawa jazdy (zresztą nie chciał podać imienia i nazwiska: jestem synem, to powin-

no wam wystarczyć, powtarzał cicho), a trzeciego dnia (tuż przed przesłuchaniem go przez panią prokurator w minispódniczce) podczas przerwy obiadowej swobodnie wyszedł z otwartej klatki. Nikt go nie zatrzymywał (może takie było dyskretne zalecenie ze stolicy). Samochód (amerykański sprzed II wojny – dodawał ekspert) pozostał na policyjnym parkingu i sam komisarz postanowił wyjaśnić gdzie go (i kiedy) wyprodukowano. Widziano go podobno latem nad morzem: na plaży naturystów sprzedawał lody czekoladowe i truskawkowe, powtarzał belkotliwie, niby do siebie, ale tak, by wszyscy go słyszeli: tyle piękna, tyle mięsa, tyle anielskich krągłości, a wszystko piekło pochłonie. Wszystko.

(97)

Jeszcze raz

Jeszcze raz: pobiec do odjeżdżającego, ostatniego autobusu, nie spóźnić się na spotkanie z kolegą z ogólniaka, który nie żyje od dwudziestu lat, nie pożyczać znajomym nawet złotówki, pomyśleć o nowej wersji życiorysu (czy też nie byłem niekiedy przeciw?), w obcym mieście zapytać bez skrupowania przypadkowego przechodnia o najkrótszą drogę na dworzec, napić się czeskiego piwa „Vratislav”, zobaczyć jelenia na rykowisku w Puszczy Białowieskiej...

– Czy nie za dużo chcesz, biedaku? Masz tu złotówkę na wódkę!

(97)

Czy mnie szukał?

Mimo zapowiedzi nie przyszedł ani wczoraj, ani dzisiaj – zakreśliłem minusy w kalendarzyku. Po kilku dniach dostałem list z dalekiego miasta. Nie mogłem znaleźć twojego domu, napisał. Czy aby na pewno tam mieszkasz? To prawda, budynek w podwórzu, przy ulicy nie ma żadnej tablicy, po prostu brak numeru, trzeba przejść przez bramę, potem skrócić nieznacznie w lewo: nie, nie można się zgubić, nigdy dotąd nie zbłądziłem, zawsze trafiałem bezbłędnie, nawet nie noszę karteczki z adresem. Czy naprawdę mnie szukał? Przecież się nie ukrywam. A po drugie: mógł zapytać przechodniów, oczywiście.

(97)

Zaprzeczam

Tu wcale, kochana wnusieńko, nie jest nudno i brudno. Nie gniewaj się na mamę i tatę, że wykupili mi tu miejsce w pokoju dwuosobowym (inni mieszkają w trzy-, cztero-, a nawet pięciosobowych). To prawda: już kilkanaście minut przed pierwszą czekamy na korytarzu na dzwonek, że można wchodzić do jadalni. Drzwi otwarte

szeroko, widzimy młode, nieco znużone kelnerki (co prawda w spodniach, lecz w białych fartuszkach, jak sobie życzy kierowniczką kuchni) ustawiają na stołach szklanki z ciemnoczerwoną cieczą. To chyba kompot z czarnej porzeczki. Gdzież się mamy spieszyć? Od tygodnia pada deszcz, trzeba siedzieć w domu. Można oglądać telewizję (mamy tu satelitarną), albo przeglądać gazety. To prawda, na korytarzach ciemnawo, ale świecą całą noc białe kule. Wszystko jasne: kolacja o szóstej, a o wpół do ósmej dziennik telewizyjny. Wiemy: ktoś przyjechał, ktoś coś powiedział mądrego albo ważnego, umarł ktoś nieznajomy, świat jeszcze istnieje, jutro znowu będzie owsianka na śniadanie. Nie zapominaj o zraszaniu codziennie mojej paprotki! Dobrze?

(97)

Nie, nie powiem

Nie, nie powiem, że żałuję. Czego mam żalować? Nie rozśmieszajcie mnie, panowie! Noża nazbyt ostrego? (Nie ja go hartowałem i szlifowałem, choć to ja – nie zaprzeczam! – wbijałem ostrze w brzuch.) Snów zawsze tylko kilkuminutowych? Nie odbytej podróży do Italii? (Papież przyjeżdża do nas, a Rzym mnie nie zapraszał.) Kilku nie zjedzonych gruszek-babek? Tamtej roześmianej dziewczyny w topless (jak mówią Czesi: nahoře nic), spotkanej ćwierć wieku temu na plaży w Międzyzdrojach, którą zapytałem, czy mogę jej zrobić zdjęcie (dla potomności, nie dla *Playboya*, dodałem obłudnie), a ona odpowiedziała mi krótko: spierdalaj? Śmiało, kacie, śmiało, a wieczorem nie żałuj sobie niczego. Nawet chleba z masłem.

(97)

Nie dzwońcie

Nie dzwońcie do mnie przed dziewiątą: nie chodzę ani na pierwszą, ani na drugą zmianę, pod pierzyną cieplej niż za oknem, nie ucieknij mi tramwaj. Nie dzwońcie – mimo że wciąż najtaniej – przed ósmą: właśnie po szóstej, gdy żona wychodzi (słyszę zawsze jak przekręca nazbyt pospiesznie klucz: moje łóżko blisko drzwi), śnią mi się dalekie miasta, w których jest zawsze wiosna, a kelnerki pytają mnie uprzejmie po polsku (skąd wiedzą, że nie znam żadnego obcego języka?): co dla pana? I nie mogę – często, nazbyt często – odpowiedzieć, bo budzi mnie natarczywy dzwonek telefonu. Muszę wreszcie kupić inny aparat, który będzie terkotał kanarkowo. Słuchałem takiego kanarka u znajomka i od razu chciałem pójść do sklepu, ale było już za późno, a w domu pomyślałem, że wolałbym, by słowik mi śpiewał. Albo kos.

(97)

Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu (4)

47. I ja nieraz ją spotykałem na sąsiedniej ulicy, chyba mieszka gdzieś w pobliżu. Tak to sobie przypominam: gdy widziałem ją idącą z naprzeciwka, stawałem i gapiłem się jak zbliża się powoli (nigdy się nie śpieszyła, w każdym razie na tej bocznej ulicy, na której i mnie magnetyzowała), wysoka (co najmniej metr osiemdziesiąt), że prawie czułem się kurduplem, choć przecież mikrusem nie jestem, szczupła długonoga (albo tak mi się zdawało, bo należała do tych nielicznych teraz kobiet, spotykanych na ulicy, które nie noszą na co dzień spodni, lecz ciasne spódnice, zazwyczaj mini), chyba naturalna blondynka, choć niekiedy ruda, krucza albo fioletowa, a na dodatek z wydatnymi (niemal prowokująco sterczącymi) piersiami, które jakby szły przed nią, a nie z nią, krocząca dumnie (ale bez wyniosłości) po betonowych, wyszczerbionych płytach, nie rozglądająca się na lewo, gdzie przystanąłem akurat ja, ani na prawo, gdzie podziwiali ją dwaj absolwenci (najwyżej) podstawówki. Gdy oddaliła się kilkadziesiąt metrów, jeden z nich, chyba ten młodszy, już odczarowany wyszeptał jakby się bał, że i ona go usłyszy:

- Ale balony, o Jezu!
- Pieprzysz, wata w szmatach.
- Nie widziałeś?
- Ty nie widziałeś, ja wiem...
- Co ty tam wiesz, gały ci chciały wyskoczyć.
- Chodziła kiedyś z bratem Jacka...
- Tego z Lwowskiej?
- Nie z Żelaznej.
- No to co?
- Brat mu powiedział. To pic, ona amazonka...
- No to co? Ja też bym sobie na koniku pojeździł...
- Ależ ty durny, co ci będę tłumaczył.
- Powiedz!
- A co mi dasz?

Jeszcze ją widziałem: w żółtej bluzce z krótkim rękawem (to przecież połowa czerwca) i szarej spódnicy. Nigdy nie jeździłem konno; kilka razy siedziałem na koniku, dawno, prawie czterdzieści lat temu. A ona? A może kiedyś szeptała nieraz do brata Jacka: wio, koniku?

66. Nie noszę krawatów. Nie znoszę krawatów! Czy wykrzyknik nie jest tu przesadą? Nie. Wcale nie jestem wrogiem krawatów: kto chce, niech sobie nosi, niech nawet śpi w krawacie, niech się kąpie w krawacie, niech się wiesza na krawacie. Po prostu nie lubię, gdy się mnie przymusza, że muszę mieć pod szyją krawat. A po co? Bo na przykład nie wpuści się mnie do wytwornej restauracji. Albo na jakieś oficjalne spotkanie w Warszawie. Kto wymyślił krawat, czyli – jak podaje słownik – *wąski pasek materiału wiązany na węzeł lub kokardkę przy kołnierzu koszuli lub bluzki*? A któż by? Wiadomo, cudzoziemcy, francuskie fircyki... Ot, podpatrzyli – ponoć już w XVII wieku – zaciężnych żołnierzy chorwackich, zawiązujących sobie fikuśnie chustkę na szyi. Une cravate. Francuzi spłagiowali Kroatów, a potem rozmnożyli krawaty gdzie się dało. Już w XIX wieku krawaty

zaczęły terroryzować mężczyzn, później także kobiety. Po cóż komu krawatka pod szyją? W 1980 roku w Paryżu wszedłem przypadkowo do sklepu, w którym sprzedaje się wyłącznie krawaty; setki, tysiące krawatów, wreszcie zrozumiałem, co to jest surrealizm. Krawat: dla ozdoby? A ileż to metrów (nie: kilometrów) kwadratowych materiałów się zmarnowało? Ile jedwabiu, bawełny, lnu, wełny, materiałów mieszanych i sztucznych! Zawsze, gdy oglądałem kroniki filmowe i telewizyjne, nie mogłem się nadziwić, że tak się męczą królowie, prezydenci, premierzy (zwłaszcza afrykańscy), ministrowie, laureaci Nobla, akademicy – na przyjęciach, w teatrze, na balach i wczasach, gdziekolwiek. A prezenterzy telewizyjni? Tych mi najbardziej żal. Bez krawata nie wpuszczamy! Toż to brzmi jak kopniak w podbrzusze. A niby dlaczego nie wpuszczacie? Bo tak się przyjęło. A z kolczykiem w nosie mogę wejść? Owszem, byle w krawacie. Krawat to przecież ozdoba męskiego ubioru. Ozdoba? To chyba najgłupsza tyrania: tyrania krawata. Ale widzę w telewizji, że obyczaj się zmieniają: można zobaczyć w dzienniku na przykład prezydenta USA w sportowej koszuli bez krawata, premiera Indii w bawełnianej koszuli i bombajce (natomiast premiera Chin zawsze pod krawatem, bluzy Mao już w muzeum!). I u nas coraz więcej mężczyzn pokazuje się publicznie bez krawata. Nawet w Belwederze! Podziwiam, podziwiam. Niektórzy wolą muszki. Tylko w niedzielę. Albo gdy mają wystąpić w telewizji. Albo odebrać order lub nagrodę. Czy nie lepiej przyczepić sobie zieloną żabkę? Żyją. Coś ty zgłupiał: bez krawata cię nie wpuszczą, krzyczy niejedna żona, nie wypada, nie wypada, może pokażą cię w telewizji, weź ten, co dostałeś od szwagierki na imieniny. Wypada, wypada. Nawet w trumnie krawat jest ozdobą, wykrzykuje z kuchni gość z Francji. Ciszey tam, ty żabojadzie!

I ja nosiłem krawat. Krótko. Nawet miałem kilka krawatów, ale kilkanaście lat temu wszystkie wyrzuciłem. Nie, zostawiłem sobie jeden, niech wisi i czeka. Może kiedyś zaproszą mnie do telewizji, albo na koktajl do ambasady (co ja gadam: co dwa lata ambasador Helvetii zaprasza mnie w grudniu na lampkę wina, ale ani razu nie pojechałem do Warszawy, bo nie miałem na bilet i hotel), albo zamówię wielki portret olejny w niebieskiej marynarce, z ołówkiem w butonierce, więc bez krawata nie można się ruszyć z domu. Pamiętam mój pierwszy krawat, który kupiłem w Pyskowicach w prywatnym sklepie w 1958 roku. Niebieski ze sztucznego jedwabiu. Na gumce. Z tancerką w rozkroku. I ktoś mi zwrócił uwagę, że nie wypada chodzić na mszę niedzielną w takim krawacie, Pan Bóg może się gniewać. Pan Bóg nie lubi szczyplych tancerek? Tylko gdzie ona tańczy? Na weselu? W kabarecie? W operetce gliwickiej? A może w paryskim burdelu? W maju 1959 roku miałem już dosyć krawatów ściskających podejrzenie szyję. I gdy robiliśmy zdjęcia do maturalnego tableau, nie chciałem się uwiecznić w krawacie. Ileż to musiałem się nasłuchiwać uszczypliwości o moim oślim uporze! Prawie mnie szantażowano, że nie będzie wspaniałej tablicy absolwentów z wszystkimi profesorami, która zawsze wisiała przez kilka tygodni w witrynie sklepu odzieżowego tuż przy Rynku, właśnie przeze mnie, że w krawacie mi najładniej, że jeden raz mogę ustąpić dla dobra ogółu... I ustąpiłem. Teraz nie poznają tamtego siedemnastolatka, jedynie tancerka wciąż jest młoda i radośna. Wciąż tańczy, a Pan Bóg wcale się nie rozgniewał. Może to i dobrze, że wówczas uległem: uratowałem przed całkowitą zatrącią tancerkę, odbitą na krawatach zapewne tysiąc razy, a tylko w moim albumie ona wciąż w podskoku.

Czyżyki (2)

7. *Na tej wysepce na sztucznym jeziorze (po kopalni piasku, który uratował pól Bytomia przed tąpnięciami) byłem tylko raz 40 lat temu. Pamiętam, rosły tam dęby i krzewy, a na południowej plaży siedziała ruda dziewczyna, która podciągnęła spódniczkę, jakby chciała nas, kilkunastoletków (mnie i koleżkę, którego imienia już zapomniałem), zachęcić, byśmy podziwiali jej nagie kolana i nieco rozchyłone uda. Gdy kupuję nową mapę górnośląskiej krainy, zawsze sprawdzam, czy wysepka wciąż istnieje. Tak, tak! Ale tylko na mapach szczegółowych.*

8. *Podziwiam pana, naprawdę – mówi mi życzliwie pewien znajomy, już po raz piąty, a może siódmy w tym roku. – Ja to bym się dawno rzucił pod pociąg, albo skoczył z mostu Pokoju do Odry, albo zażył cyjanek... Nigdy pan nie próbował? Twardy pan, nie ma co, ale czy to warto tak się męczyć? Bądź pan mężczyzną!*

9. *Nie telefonować do znajomych, nie czekać na listonosza, nie kupować gazet, nie czytać powieści (tylko fotografować napisy na murach?), nie spać do ósmej (inni wstają o piątej?), nie przerywać, gdy inni mówią największe głupstwa, nie podziwiać zaćmienia Księżyca, nie jeść jajek na twardo, nie otwierać drzwi, gdy ktoś dzwoni dwa razy: to na pewno nie jest wysłannik, na którego czekasz, to tylko sąsiad chce zapewne pożyczyć kombinerki, a przecież wiem (bo widziałem jak naprawiał samochód), że ma ich kilkanaście, ale nie chce mu się iść do garażu, więc puka do mnie, a ja będę udawał, że nie ma mnie w domu.*

10. *W skrytce pocztowej na parterze prawie codziennie, zamiast listów, znajduję ulotki reklamowe, cenniki supermarketów (jeden z nich, HIT, na tablicach reklamowych ma czasem dodatkowe literki: HITler), zaproszenia na pokazy towarów, na których mogę dostać paczkę kawy, długopis, albo rajstopy damskie.*

– *Po co mi to pan wtyka? – pytam listonosza.*

– *Rzadko ktoś do pana pisze, a tak zawsze coś pan ma w skrzynce, nie schodzi pan na dół nadaremno.*

11. *Kawa bez kofeiny, piwo bez alkoholu, seks bez miłości... A co dalej? Powietrze bez tlenu, życie bez śmierci?*

12. *Wczesnopaździernikowy wiatr nawiewa na balkon motylki, czyli takie dwa brązowiejące skrzydełka z nasionkami klonu. Tylko ja wiem, że na betonowej posadzce nie wyrosnie ani jedno drzewko. Jaka ta natura rozrzutna: tysiące, tysiące skrzydełek z nasionami, z których tylko kilka klonów wyrosnie. Na pewno nie z tego brązowego już półmotylka, który leży na moim biurku, zasuszonego jak papi-rus.*

Au revoir Paris 1959

Białą koszulkę (półgolf z krótkimi rękawami) podarowała mi M. rok temu (kupila ją tanio od znajomej, która wróciła z Francji): 100% cotton/coton, Fabrique au Liban/Made in Libanon. O dwa numery za duża. Na piersiach czarno-biała odbitka zdjęcia: mężczyzna i kobieta, siedzą na walizce (obok druga), głowy pochylone, on obydwoma dłońmi ściska jej prawą dłoń. U góry prostokątny napis: AU REVOIR, u dołu: PARIS 1959. Nie wiem, co to za kobieta, co to za mężczyzna. Fotos z filmu? Głośni wówczas piosenkarze? Co się wydarzyło w Paryżu w 1959 r.? Może to tytuł popularnego wówczas filmu? Nie pamiętam takiego filmu; i tak wtedy nie wpuszczano mnie do kina na dozwolone od lat 18. Co w tym roku robiłem? W maju zdałem maturę, w połowie czerwca skończyłem 17 lat. Na początku lipca zdawałem we Wrocławiu egzamin wstępny na polonistykę; dwa tygodnie później dostałem bezową pocztówkę, ze została przyjęty. Cieszyłem się tylko przez kilka godzin, bo wiedziałem, że rodzice nie dadzą mi (bo nie mają) ani grosza. W *Nowinach Gliwickich* przeczytałem, że Liga Przyjaciół Żołnierza (w Gliwicach przy ul. Lelka) poszukuje chętnych do wyjazdu na akcję zniwną do któregoś PGR-u k. Słupska. Witaj przygodo, witajcie złotówki! A 50 m za naszym ogródkiem zaczynały się PGR-owskie łąki i pola. Ot, pojedę i ja nad morze! Czytałem już Marka Hłaskę (*Głupcy wierzą w poranek* – toż to brzmi jak obelga), czytałem *Zamek Kafki* i kilka jego opowiadań w czasopiśmie. Od połowy 1956 r. słuchałem radia, od Barbórki 57 nadawała także Telewizja Katowice, ale tylko przypadkowo kilka razy oglądałem dziennik i chyba jakiś film; czytałem *Trybunę Robotniczą*, *Współczesność*, niekiedy *Nową Kulturę* i *Twórczość*. Chyba dwa lata wcześniej zapamiętałem głos Gustawa Holoubka (nie wiedziałem, że on już w Warszawie), występującego w słuchowiskach katowickiego radia (czy nie w „Ondraszku” wg G. Morcinka?). Przez wiele miesięcy po wysłuchaniu radiowego „Procesu” dręczyło mnie zdanie, które Leni słodziejto wypowiedział do Józefa K.: *Kocham wszystkich oskarżonych*. Potem znalazłem w książce, że to adwokat mówi do K., że w oczach Leni prawie wszyscy oskarżeni są piękni. *Narzuca się wszystkim, kocha wszystkich...* Żalowałem przez kilka dni, że nie jestem oskarżonym,



zapominałem, że Leni to *tylko – głos i nic (...) oprócz głosu*. Chyba jeszcze nie znałem tych słów. Lipiec 59 był chyba upalny. Taki go zapamiętałem. Pod koniec lipca, w Katowicach, gdzie czekaliśmy na pociąg pośpieszny do Słupska, w kiosku „Ruchu” (obok Teatru im. Wyspiańskiego i baru mlecznego, w którym wcześniej zjadłem rogalik z masłem i wypilem kubek kawy zbożowej) kupiłem lipcową *Twórczość*, a tam na początku wiersze (znanego mi ze *Współczesności*) Stanisława Grochowiaka. Przez wiele późniejszych (tak dla mnie ciężkich) miesięcy, powtarzałem sobie gorzki początek wiersza „Rozstanie”:

*Jest gdzieś północ której nie zobaczę
Północ świata
I północ doby
Czas i przestrzeń spięte jedną gwiazdą
Pod którą tylko
Śmierć się urodziła*

Jeszcze nie wiedziałem, że to moje ostatnie dni pierwszej świetności. Potem w ostatni dzień lipca, prawie nad morzem – upadek. Upadek, z którego się nie podniosłem aż do dzisiaj. A potem... Au revoir: uczyłem się przecież w liceum francuskiego, mogłem w 1959 r. zrozumieć proste teksty, np. piosenki Preverta, drukowane w *Mozaice*. Au revoir, Paris – mówiłem sobie w 1959 r. i przez wiele następnych lat: nie muszę siedzieć na walizkach na lotnisku Orly, tuż przed odlotem do Bejrutu, albo na Gare de Lyon, przed odjazdem pociągu do Marsylii. Dlaczego teraz przypomina mi się ta para i rok 1959? Ot, to zwyczajny suwennik z bawełny białej jak gryka, nawet po kilku praniach. Ileż to koszulek z dziwnymi nadrukami widuję na ulicach, czemu akurat ta kłuje mnie igłą w czaszczę? Obroty, obroty, obroty... To Leopold Buczkowski, gdy ktoś go zapytał na spotkaniu autorskim we Wrocławiu w grudniu 1994 r., jak się będzie nazywała jego następna książka i czy młody poeta opuści zamek, odpowiedział krótko: *Pierwsza świetność i obroty. Bo każdy człowiek ma swoją pierwszą świetność, najgorsze, że o tym nie wie, kiedy przychodzi, a potem tylko wieczne obroty*.

Siedzą pochyleni na walizce. Czy to Libañczyk? Kilka włosów opada na czoło. A ona, mimo smuteczku na twarzy, jakby radosna. No tak paryżanka. Rozstanie na Orly? Dlaczego fotka reprodukowana na koszulkach? I nagle coś mi zaświtało w lepetynie... Czy to nie końcowa sekwencja z filmu „Hiroshima mon amour”? Widziałem go – chyba w 1961 r. – w kinie „Klubowym” we Wrocławiu. I nie prawie nie pamiętam. Zdaje się: on, japoński stypendysta w Paryżu, nie może zapomnieć o hiroszimeńskiej katastrofie, ona, Francuzka, której w 1944 r. ogolono głowę, bo spotykała się z niemieckim żołnierzem. Nie mogą zapomnieć o przeszłości: ona nie rozumie jego lęków, on słucha ze zdziwieniem: ścięto jej włosy, co to takiego, przecież odrosły. Czy gdzieś można jeszcze zobaczyć ten film Resnais? Tak, zgadza się: premiera odbyła się w 1959 r. Może „Hiroszimę” pokaże kiedyś telewizja. A jeśli leży w wypożyczalni kaset? Nie mam magnetowidu, ale mogę pojechać do D.

Mimo że mówiłem sobie: au revoir, Paris, nigdy tam nie pojadę, to także dodawałem cichutko: i ja muszę zobaczyć kiedyś pont Mirabeau, przecież czytaliśmy w ogólniaku w oryginale wiersz Apollinaire’a. A nie mogłem nawet marzyć o podróży do Drezna i Pragi, bo nie miałem ani złotych, ani dolarów. A jednak pojechałem. W połowie września 1980 r. o siódmej rano na Gare de Lyon, gdy stałem w kącie obok baru „Café”, a M. szukała przechowalni bagażu, podszedł do mnie dwudziestoparoletni chłopak, lekko podpity, i poprosił grzecznie o pół franka na kawę (tyle zrozumiałem, choć wypowiedział wiele zdań). Pierwszy raz w Paryżu (i to pociągiem prosto z Genewy), a tu kandydat na kłozarda prosi mnie o wspomnienie. Czyż i ja nie jestem kandydatem na kłozarda? Gdybym tu został... Wyjąłem z kieszeni monety (M. już coś kupowała) i trzymałem je w otwartej dłoni, on się wzbraniał, czekał aż sam mu dam; dałem 2 franki, uśmiechnął się i powiedział: merci, tylko merci, ale bez: au revoir, a potem już go więcej w Paryżu nie spotkałem.

(lato 97)

Trzy miesiące przed mszą papieską obok hotelu „Wrocław” sierżant „Jan Kowalski” z Komendy Policji Wrocław Krzyki przychodzi do mojego mieszkania i zadaje mi podchwytliwe pytania...

Zagapiłem się: powinienem od razu w drzwiach poprosić o legitymację służbową, ale gdy powiedział, że on w sprawie wizyty papieża, to go wpuściłem bez wahania, wszak był w mundurze, wiedziałem już, że policjanci chodzą po mieszkaniach i wypytyują. Przypuszczałem, że najpierw wyjaśni mi, o co chodzi i z góry przeprosi za kłopoty, jakie niewątpliwie będą, gdy papież przyjedzie. Do przysłego ołtarza od naszego domu chyba 300 m, a w prostej linii na pewno mniej, na pewno pełno obcych będzie się tu kręcić w pobliżu, lepiej wiedzieć, co nas czeka, jak policja będzie nas chronić. A on usiadł przy stole, wyciągnął gruby, czarny notatnik formatu *Odry* i od razu, bez jakiegokolwiek wstępu, bez wyjaśnienia, zaczął zadawać mi pytania jak na przesłuchaniu.

– Jak się pan nazywa? Ile ma pan lat? Gdzie pracuje? Ma pan żonę. Gdzie pracuje? Leczy się pan psychiatrycznie? Ma pan broń? Podczas pielgrzymki będzie miał pan gości? Ile osób? Skąd? Jak się nazywają? Jak długo się zatrzymają?

Odpowiadam tylko na kilka początkowych pytań, ale on niezrażony, wciąż zadaje następne, jakby wyuczył się na pamięć, takie chyba ma polecenie. Ile może mieć lat? Nawet mu się dobrze nie przyjrzałem: ot, po prostu między trzydziestką a czterdziestką.

– Nie odpowie pan?

– Nie, bo nie muszę. Macie przecież komputery, bazy danych...

Wtedy jedyny raz się roześmiał, można by go nawet polubić: był to uśmiech przedszkolaka.

– Komputery? Co pan gada! Ja nie mam porządnej palki, a pan mi o komputerach. Te nowe, amerykańskie, widziałem raz, i to w dzienniku telewizyjnym... Więc jak?

– Ale pan nachalny...

– To chce pan, bym wypytywał sąsiadów?

– Proszę bardzo, to nie moja sprawa.

Nie wstaje, chyba nie poprosi, bym go poczęstował herbatą, bo zaschło mu w gardle od ciągłych pytań, siłą go nie wyrzucę, sprawniejszy i silniejszy ode mnie.

– A na dachu był pan kiedyś?

– A po co? Klucza nie ma nawet szymonowa.

– Na dachu mógłby ktoś postawić moździerz, albo karabin maszynowy i...

– To pan myśli, że ja mógłbym...

– Nic nie myślę, po prostu musimy rozważyć wszystkie ewentualności. Nie oglądał pan filmu „Dzień szakala”?

(97)

Za duże terytorium, za mało mieszkańców

Wrocław miastem wyludnionym

Kto mieszka przy ul. Witolda Gombrowicza?

Pod koniec sierpnia 1992 r. jechałem autobusem „22” z Pyskowiec do Bytomia. Pierwszy raz jechałem autobusem tej linii chyba w 1957 r.; to tylko 20 km, ale jedzie się nieco okólnie, żeby jak najwięcej osób mogło dojechać do Zabrza, do Bytomia. Oto Zawada, Karchowice, Boniowice, teraz skręcamy w lewo, zamiast prostą drogą – via Wieszowa – do Zabrza Rokitnicy i Bytomia Miechowiec. Oto Kamieniec, Zbroślawice (cały czas blisko Dramy, wyraźniej widocznej na mapie niż z autobusu). Zaraz za Zbroślawicami skręcamy w prawo. Oto już tablica: BYTOM. A to tylko Górniki, taka półwiejska dzielnica: domy wzdłuż głównej ulicy, ciągnącej się co najmniej dwa kilometry. I duże tablice (białe litery na niebieskim tle) widzę co kilkadziesiąt metrów: **ul. Witolda Gombrowicza**. Dłaczego akurat ta ulica otrzymała imię autora **Kosmosu**? Ile osób słyszało tu o **Trans-Atlantyku**? To nie ma znaczenia: radni słyszeli, po prostu skreślili poprzednią nazwę – Leningradzką (sprawdziłem na planie Bytomia z 1984 r.). A że padło na Gombrowicza? To już tajemnica komisji zmiany nazw ulic...

I we Wrocławiu po 1989 r. Gombrowiczowi przydzielono ulicę. Oto nowe uliczki na periferyjnym Muchoborze Wielkim ozdobiono nazwiskami literatów. Jadąc z centrum, tuż za mostem na Ślęży, zaczyna się Mińska: po prawej Gospodarstwo Ogrodnicze, po lewej osiedle domków jedno- i wielorodzinnych. Oto ulice: Melchiora Wańkowicza, potem króciutka Gombrowicza, a dalej: Jerzego Cieślakowskiego (krytyka i badaczka literatury, pominiętego w t. 2 **Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury**), Romualda Cabaja i kilkunastu innych mistrzów pióra (m.in. M. Dąbrowskiej, M. Rodziewiczówny, L. Tyrmanda, M. Hłaski). Czy ktoś już mieszka na Gombrowicza? Na pewno. W oficjalnych obwieszczeniach wyborczych przeczytałem we wrześniu 1997 r., że mieszkańcy m.in. ulic: Gombrowicza, Postępowej i Przedświtu mogą głosować w Szkole Podstawowej nr 25. Oto Gomber naprawdę upupiony! Wielu Polaków przeczytało go uważnie (zwła-

szcza **Dziennik**), licealiści przeklinają, że muszą przerabiać **Ferdydurke** (bo wielkim pisarzem Witoldo był), a na dodatek rajcy miejscy przydzielają mu jakieś zaplute uliczki. A on po wojnie nie chciał się zgodzić, by premiera „Ślubu” odbyła się w Kielcach...

Drewniany wieszak „Dyckhoff Breslau”

O wieszakach już kiedyś pisałem (zob. opowiadanko „Wieszaki” w tomie **Konie przejadają Polskę**, Oss. 1974). W tamtym tekście wspominałem o wieszakach gliwickich, teraz kilka zdań – o wrocławskim. Jak trafił do mojej szafy? W 1945 r. lekarska rodzina przesiedleńców ze Lwowa otrzymała duże mieszkanie we Wrocławiu przy ulicy Ignacego Łukasiewicza (na ścianach domów wciąż tkwiły tabliczki z poprzednią nazwą ulicy: Heidenhein Str.). Tam musieli zostawić duże mieszkanie i dobrze wyposażoną przywatną klinikę, tu w mieszkaniu na czwartym piętrze, w pobliżu uniwersyteckich klinik, w szafach wisiły na wieszakach marynarki, sukienki, krawaty. Solidne, drewniane wieszaki z nazwami sklepów i domów towarowych. Gdy w latach 70. państwo doktorostwo przenieśli się do blokowego, nowego mieszkania z wielkiej płyty (tylko dwa pokoje, ale za to na parterze i z c.o.), chyba nie wszystkie wieszaki pojechały wraz z innymi rzeczami (i lwowskimi, i breslauerskimi, i wrocławskimi) na pl. Hirszfelda. Potem pani doktorowa – od kilkunastu lat już wdowa – jeden z wieszaków podarowało mi na imieniny (nawet nie pamiętam, kiedy przypadają). Na ramionach (chyba one z drewna bukowego) lakier częściowo się złuszczył, poprzeczka grubości ołówka, przybita do ramion gwoździkami, a u góry zwykły metalowy pytajnik. Ot, niby zwyczajny wieszak z czarnym napisem na obydwu ramionach: DYCKHOFF BRESLAU. Gdzie się znajdował w Breslau magazyn (dom towarowy?) „Dyckhoff”? Nie wiem, nie sprawdzałem (to łatwo można uczynić – sporo w ostatnich latach ukazało się książek i opracowań o breslauerskim Wrocławiu), to dla mnie nie takie ważne. Wieszak przetrwał ponad pół wieku w dobrym stanie, prze-

trwa zapewne i mnie: po prostu wiem na nim najgrubszą marynarkę i spodnie. Na eksponacie historycznym? No to co!

I we Wrocławiu zaraza?

We Wrocławiu krążą uporcezywe pogłoski, że przy Oddziale Stowarzyszenia Pisarzy zawiązało się literackie Koło Masonów, składające się z niektórych członków SPP i Koła Młodych Pisarzy. Z ilu składa się członków, czy są wśród nich kobiety, do jakiej Wielkiej Łoży (czy nie „Dublinu Wschodu”?) Koło należy itd. – *Przecinkowi* nie udało się ustalić. Wiadomo, maso-ny chytre są, wszystko utajniają (a tylko ryja i szkoda!), a to one – jak udowodnił swego czasu profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wiesław Paweł Szymański – decydują, kto dostanie Nagrodę Nobla. Czyżby mój Nobel się oddalał? Jedno jest prawie (niestety: tylko prawie) pewne: tymczasowym prezesem Koła został – kto by pomyślał!!! – Henryk Wolniak (poeta i prorok). Szczegóły – w pubie „Guinness” (pierwszy stolik pod oknem).

Loki Schillera

Pod koniec października 97 r. posilałem się przez kilka dni lokami Schillera (czyli Schillerlocken). M. przywozła je z Kassel. Tak, Schillera, poety i dramaturga. Zmarłego prawie 200 lat temu, więc jego nazwisko może już być pomiewierane przez wykształconych handlowców.

KAUFHOF		
ABT. 980		
22.10.97	401 000	0025
	012:57	801
kg	DM/kg	DM
00,156	69,90	10,90
	01 *	10,90

Czy u nas nie będzie tak samo? Przypuszczam, że tak. Na razie mamy wódkę „Chopin”. Mówimy o kolnierzu Słowackiego, ale nie mamy jeszcze w sklepach cukierek malinowych „Leśmian”. Za to pijemy wódkę „Soplica” i piwo „Zagłoba”. W Niemczech prawie każdy znany muzyk kompozytor ma w sklepach swoje czekoladki, likiery itd. Ostatnio przeczytałem w jakimś gazecie, że pewien badeński ogrodnik, inspirowany się **Blaszany bębenkiem**, wyhodował specjalną odmianę cebuli i nazwał ją imieniem Güntera Grassa: nie nadaje się do jedzenia, natomiast podczas krojenia powoduje tak obfite łzawienie, że lekarze zalecają ją osobom, które nie dostały się do parlamentu. Zapewne i u nas pojawi się wkrótce w warzywniakach.

Loki Schillera to ułożone w rurkę wędzone mięso z brzucha rekina północnoatlantyckiego... Niewątpliwie smaczniejsze niż np. wędzonego dorsza. Na znanym portrecie Schillera, reprodukowanym m.in. w encyklopediach, widzimy głowę poety z bujnymi, kręconymi lokami. Naturalnymi, a nie peruczonymi. W niektórych krainach niemieckich to także nazwa rurek z kremem. Tak, i u nas obrotni biznesmeni pójdą na całość; czekam np. na wódkę „Wojacek”. Nie, chyba jeszcze za wcześnie: we Wrocławiu mamy od ponad 40 lat ulicę Onufrego Zagłoby (*Mów mi: wuju!*), który większym niż Rafał poetą był. Wszystko po kolei: najpierw ulica, potem piwo albo wódka...

Absolut 100 metrów od mego domu

Absolut to słowo raczej nie należące do polszczyzny potocznej: w ostatnich jednak latach w pewnych kręgach ma ono także znaczenie konkretne, o którym nie śniło się filozofom. Otóż i u nas w sprzedaży szwedzka wódka ABSOLUT. Wypiłem kiedyś dwa kieliszki: to samo obrzydlistwo, co nasza żytnia. A teraz codziennie przechodzę obok nowego sklepu i widzę duży napis: ABSOLUT, niżej mniejszymi literkami: art. spożywcze i monopolowe. Pod drzwiami podrzucił mi ktoś pocztówkę reklamową, z której dowiaduję się: *Sieć Sklepów Absolut powstała, aby podnosić kulturę spożycia alkoholu oraz innych używek. To rozumiem: nowi Kulturträgerzy...*

Gdzie przecinki cztery, tam zbędne komputery

Zacznę od drobnych sprostowań, uzupełnień i wyjaśnień. Otóż w listopadzie 1997 r. M. odnalazła na cm. Grabiszyńskim grób Elżbiety Parnickiej (zob. z. 3, s. 76: Najpiękniejsza dedykacja). Oprócz tradycyjnych dopisków obok nazwiska (śp., Pokój Jej Duszy), na płycie tylko daty: urodzenia (8 lipca 1909) i śmierci (27 listopada 1983). Natomiast osoba, która niedawno wróciła z Poniewieża, mówiła mi, że dwór w Burbiszkach (wiec jednak istnieją naprawdę!) w świetnym stanie (zob. z. 4, s. 90: Burbiszki to pliszki?); nie ma śladu po dworze w Ejryniszkach (Ejgiszkach?). Dwa dopowiedzenia do „Dziennika pisanego na kolanie” (z. 4). H. donosi, że oprócz przywiezionej z Polski **Zbyt głośnej samotności** (Kr. 1993), tuż przed przyjściem do „Złotego Tygrysa” kupił w antykwariacie czeski pierwodruk Hrabala **Schizofrenické evangelium** (Praha 1990). Na obydwu książkach ma autograf autora, z dopiskiem: *u Tygra 23.8.96*. Czyli: pomyliłem daty. Czyli: zdania napisałem później, nie na kolanie, lecz na maszynie... Ponadto tłumacz **Zbyt głośnej samotności** napisał mi, że przytoczona w „Dzienniku” przyspiewka (s. 100 – u mnie tak, jak usłyszałem) brzmi w pełnej wersji (jak śpiewają ją sąsiedzi z dołu):

*Niech żyje wolność,
niech żyje swoboda,
niech żyje zabawa
i dziewczyna młoda.*

Red. Jan Stolarczyk zasugerował w liście, że zapewne autor projektu znaczka katyńskiego (zob. z. 4, s. 93-94) zainspirował się wierszem Zb. Herberta „Guziki” (Rovigo, Wyd. Dolnośląskie 1992). Zapewne tak, zresztą to jeden z najpiękniejszych wierszy tego poety. Oto pierwsza zwrotka:

*Tylko guziki nieugięte
przetrwaly śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyń pomnik na ich grobie*

Muszę wspomnieć o dwu dłuższych tekstach o *Przecinku*. W *Sycynie* (nr 19 z 5 X 1997) Jerzy Łukosz pisząc o z. 3 (Pismo to człowiek) ocenia przedsięwzięcie przecinkowe niezwykle wysoko. Aż się Piotr Czyżyk obruszył (z zazdrości?), choć o nim też wzmianka... Dopiero pod koniec października 97 r. przeczytałem w *Zeszytach Literackich* (nr 59, lato 1997) wypowiedź Barbary Soli w dziale „Zobaczone, przeczytane”. W nocie Soli (przecież sympatycznej i – jakby powiedział Witkacy – istotnej) zwróciły moją uwagę także zdania nieco „poetyckie”: *Pluta pisze piórem umocowanym w ołowiu. (...) Śladu magii, mgły (zadymy), kolorowego obłoku, zero ezoterycznego, tęczowego marzenia. Cóż ja poradzę: nie umiem latać. Nawet nie biegam. Za moitylami.*

Czwarty *Przecinek* na moim biurku znalazł się 18 listopada 97. Jak i poprzednio, otrzymałem niemało (ponad 30) listów; wysłuchałem też różnorodnych opinii ustnych i telefonicznych. Kilkunastu czytelników stanęło w obronie Piotra Czyżyka. Jeden z czytelników zapowiedział, że ofiaruje mi słoik miodu z własnej pasieki: czekam na misia u plotu... Inny prostuje moje zdania o pszczołce: *Mam też zastrzeżenia co do tego momentu z pszczołką; wie Pan, jak długo żyją poszczególne przedstawicielki tego gatunku? Wcale nie kilka dni, ale dokładnie jeden jedyny dzień jest ich całym życiem. Pytałem pszczelarza i taką dostałem odpowiedź. Zresztą na ten temat jest świetna monografia Wilsona o życiu pszczoł (...).*

Niektórzy dziwili się, że tak wysoko oceniam krytykę i eseistykę Henryka Berezy. A prawie wszystkim podobało się zdjęcie z Hrabalem.

(1/98)

Książki zakupione, nadesłane, pożyczone...

To prawda, nie wchodzę do księgarni (jedyne nie omijam niekiedy księgarni ossolińskiej w Rynku): przede wszystkim z obawy, że zaatakują mnie książki, których nie mogę kupić, bo i groszy brak, i miejsca na półkach. A po drugie: muszę wybierać między czytaniem a pisaniem, wszak do napisania (m.in. przeze mnie) pozostało wiele arcydzieł... A rozumu już nie przybędzie, oczywiście.

Zacznę od książki szczególnej, od albumu fotograficznego Wyd. Dolnośląskiego (Wr. 1997) **Powódź. Wrocław, lipiec 1997** (Mariusz Urbanek: tekst, układ zdjęć; Adam Hawalej: wybór zdjęć; Jan Stolarczyk: oprac. graficzne). Czy to naprawdę wydarzyło się we Wrocławiu? Zdjęcia (kolorowe) nie kłamią.

Już w listopadzie 1997 r. ukazało się 6 pozycji serii VI Biblioteki Wrocław. Oddz. SPP (OKIS). Aż 3 debiuty! Najmłodszym debiutantem jest (ur. 1970) Jacek Gutorow (**Wiersze pod nieobecność**), najstarszym (ur. 1930) – Andrzej Maria Dzierżanowski (**Autem w sobotę i inne opowiadania**), autor zbiorów wierszy, teraz ujawniający się jako prozaik. Również Feliks Przybylak, cenny tłumacz i badacz literatury niemieckojęzycznej, debiutuje jako poeta (**Poza szumem**). Ponadto: najnowszy poemat Jacka Łukasiewicza (ukończony w styczniu 97 r.!) **Czas nie dopelniony**, gdzie wiele tajemniczych fraz (w. 1 brzmi tak: *Z kotłétów kijowskich tryskało świeże masło*), skłaniających (w każdym razie mnie) do melancholii; poemat Roberta Gawłowskiego **Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski**; proza poetky Waldemara Okonia **Zapisy bez daty** (czyżby zmierzanie się z arcydziełem Mistrza Juliana, czyli z **Zapiskami bez daty**? – niech się wypowie autorzytawnie Bogusław Kierc...).

Centrum sztuki-Teatr Dramatyczny w Legnicy wydało w 1997 r. m.in. 2 arkusze poetky (Wojciech Wilczyk, **W krainie wilka**; Dariusz Sośnicki, **Aby twój uśmiech mógł trwać całe życie**). Wierszom towarzyszą fragmenty poradników (o wilkach, o urodzie), które z jednej strony utrwalaniają poetky przesłania, a z drugiej – są ironicznym cudzysłowem.

Bydgoska Galeria Jana Kai i Jacka Solińskiego nie zaprzestaje działalności wystawienniczej i

wydawniczej. Na moim biurku m.in. 2 luksusowo wydane książeczki: Jan Kaja, **Przechodząc**. Obrazy, rysunki; **Niebo w grudniu** (Krzysztof Kuczkowski, wiersze i małe prozy – Jacek Soliński, linoryty i obrazy). Zwracam szczególną uwagę na 2 teksty Kuczkowskiego: „Znowu te sny” i „Próba trenu”.

W którym roku (od stworzenia świata) żyjemy? W 5758! Rozpoczął się – wg naszej rachuby – 2 X 1997, a skończy się 20 IX 1998. Od kilku lat czytam **Almanach żydowski**, wydawany niezwykle pieczołowicie przez Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP. Nie tylko z ciekawości i żądzy wiedzy itd., ale także dlatego, że zamierzam (po nastaniu pokoju izraelsko-arabskiego) przenieść się (mam nadzieję, że jeszcze w tym tysiącleciu!) na kilkanaście miesięcy nad jezioro Genezalet (by – dodam – ryby łowić, nie ludzi). W edycji 1997-1998, oprócz kalendarza żydowskiego i szkiców, także tłumaczenia z jidysz i hebrajskiego.

Praga magiczna (Angelo Maria Ripellino, przeł. Halina Kralowa, PIW, Wwa 1997) kosztuje aż 48 zł, ale warto wydać na nią nawet 100... Czytam i poplakuję, bo chyba do Prahy – mimo że z Wrocławia bliżej niż do Warszawy – już nie pojedę. A po przeczytaniu kilkunastu stron chciałoby się wyruszyć natychmiast. Kto napisze kiedyś książkę **Vratislavia magica**? Może Andrzej Zawada (**Breslaw**)...

Dopisek Piotra Czyżyka. Oto na biurku *Magazyn Sztuki* (1997, nr 1/2). Podwójny zeszyt (aż 352 s. formatu B5), wydanego w Gdańsku kwartalnika, dostałem z ... Duisburga. Zainteresował mnie obszerny szkic Jerzego Truszkowskiego „Chris Burden oraz jego polscy krewni”. Wg autora, do polskich krewnych należy... Leszek Przyjemski. Zreprodukowano tu m.in. plakat galerii TAK (por. także z. 2 *Przecinka*) oraz afisz Przyjemskiego z 1979 r. z poetkym tekstem (w którym i takie zdanka: *ja wszystko pamiętam powiedziała Kajestana Jerzy Pluta odkrył Mój Ulubiony Krajobraz ludzie boją się nieraz mówić*). Oto teza szkicu: *Leszek Przyjemski jest jednym z najwybitniejszych polskich artystów współczesnych*. No proszę, teraz już wiem, z kim się mój Szef zadaje (telefonicznie i listownie): nie z dyrektorem Museum of Hysterics, lecz...

Książki nie nadesłane...

Henryk Bereza, **Praca przy pielęgnacji kwiatów w ogrodzie, drzew w sadzie, w parku lub w lesie**. 748 fragmentów o literaturze. Wybór: Jan Błoński. Komentarze: Bohdan Zadura, PIW, Warszawa 1999.

Zadziwiająca księga! Wreszcie czytelnik otrzymuje w jednym tomie najistotniejsze fragmenty o literaturze jednego z najwybitniejszych polskich krytyków literackich XX w., wybrane przez krytyka-adwersarza, również jednego z najwybitniejszych polskich krytyków literackich XX w. Układ chronologiczny wydaje mi się właściwy, bo możemy śledzić ewolucję zapatrywań Berezy na literaturę (od realizmu do oniryzmu?). Fragmenty zostały wybrane z ponad 2000(!) tekstów krytycznoliterackich: od debiutu w tygodniku *Więść* (1951) do eseju w *Twórczości* (maj 1999) pt. „Jeszcze nie zginęła” (czyli: literatura polska). Każdy kawałek został opatrzony dokładnym adresem bibliograficznym i przypisaniami. Ponadto bibliografia wszystkich prac Berezy z l. 1951-1999, indeks nazwisk i tytułów. Znakiem przewodnik. Dlaczego taki tytuł? Odsyłam czytelników do szkicu Berezy „Obrachunek”. Początek zdania tam taki: *To raczej...*

Ernest Dyczek, **Wratislavia**. Übersetzung: Janusz Borysiak, Wratislavia, Breslau 2003.

Trzecia z kolei (po *Autosji* i *Mortalii*) powieść – część *Komedii społecznej*. Szkoda tylko, że nie możemy jej przeczytać w języku oryginału (już wcześniej przydarzyło się to *Termitom*, wydanym najpierw po niemiecku w Austrii). Kto jeszcze z wrocławiaków zna niemiecki? Przecież od kilku lat to angielski jest drugim urzędowym językiem Rzeczypospolitej. Ja jestem w lepszej sytuacji: czytałem *Wratislavię* w maszynopisie. Po polsku.

Jan Hanc, **Z balkonu widzę Śnieżkę**. Wiersze przebrane. Wybór: Piotr Czyżyk, nakładem Koła Absolwentów Technikum Weterynaryjnego, Jelenia Góra 2002.

Edycja przygotowana przez dawnych uczniów autora (z okazji jego 60. urodzin). Hanc zadebiutował w 1965 jako pamiętnikarz (zob. zbiór *Tu jest mój dom*. Pamiętniki z Ziemi Zachodnich i Północnych, LSW), teraz debiutuje jako poeta (wcześniej drukował wiersze w prasie i almanachach). Są to przeważnie teksty młodzieńcze, jednak zadziwiają-

co dojrzałe. Hanc uczył również łaciny i nie dziwi mnie, że 2 jego wiersze zostały przełożone na język Horacego (nb. przez b. ucznia, który później został księdzem).

Franz Kafka, **Fräulein Eva Schmeterling, Schmieterbrüche 13, Breslau**. Oprac. i tłum.: Jerzy Łukosz, Wyd. Berenika, Wrocław 2000.

Tytuł to wrocławski adres odbiorcy, czyli kapryśnej pannicy, córki profesora wrocławskiego gimnazjum św. Marii Magdaleny. To zapewne będzie sensacja europejska! Oto we Wrocławiu w 1999 r. odnaleziono 14 listów i 27 pocztówek z l. 1913-1919. Tu m. in. zdania Kafki, że spalił ostatnie rozdziały o *niczego nie rozumiejącym prokurencie Józefie K.*, dowiadujemy się także, że geometra K. *wiecznie będzie czekał na wezwanie Klamma, tajemnica jest biała*. Mamy tu faksymilia listów, tekst po niemiecku, a także tłumaczenia na polski, francuski i angielski. Czy jednak nazbyt wygórowana cena (aż 200 DM!) nie odstraszy polskich miłośników autora *Zamku*? Dlaczego cena w markach? Co na to prezes NBP?

Tymoteusz Karpowicz, **Rozwiązywanie przestrzeni**. Poemat polimorficzny, Wyd. Wrocławskie, Wrocław 2000.

Godne pożegnanie XX w.! Ta gruba (ponad 1000 stron) księga to lektura nie tylko na zimowe wieczory, ale na wiosny i lata. Tylko czy ta Księga Poezji zostanie zauważona w Sztokholmie?

Andrzej Pańta, **Jestem Pańtą, Pańtolą czy Paintą?** Rodowód rodzinny i poetycki, Tow. Opieki nad Poetami, Bytom 2002.

Długo zapowiadany, fragmentarycznie drukowany w periodykach, obszerny poemat dygresyjny (prawie tyle wierszy, co w *Beniowskim...*), z 79 przypisami. Niektóre przypisy miast rozjaśniać tekst, raczej go zaciemniają (może tylko rozgadniają).

Jerzy Pluta, **Poszła Karolinka...** Opowieść górnośląska, Oficyna Karlik, Gogolin 2004.

Czyż autor nie jest zbyt optymistą mniemając, że sprawy górnośląskie mogą jeszcze kogoś zainteresować? Zapewne tak. Np. historyków-przyczynkarzy. Pluta wcale nie wyjaśnia, dokąd naprawdę poszła Karolinka. Wcale nie do Gogolina. Raczej do Ameryki.

My, zjadacze słowików i słowników...

Nigdy nie widziałem słowika. Naocznie. Ani szarego, ani rdzawego. Tylko w telewizji i na ilustracjach. Wiem, że ubarwienie ma rdzawe, a ogon wyraźnie rudy. Zdaje się, że tylko słowik rdzawy. *Gdy słowik śpiewa, czyżyk z zazdrości się smuci.* Kto to powiedział/napisał?

Słyszałem jak śpiewa. Chyba w radiu. A może w lesie lub parku? Nie pamiętam. Przypominam sobie jednak nie śpiew, lecz tamtą chwilę sprzed prawie pół wieku, gdzieś pod Gliwicami, gdy w majowy wieczór ktoś (ale kto? – nie pamiętam) powiedział do mnie: słuchaj, to nachtigal. Nie wiedziałem wówczas, co to za nachtigal (chyba nie nocnik, bo to nachtop), a mówiący chyba nie wiedział, że to w niedalekim lasku (zwanym od wieków po czesku oborą) słowik śpiewa. We Wrocławiu – jak mówił mi Piotr Czyżyk – najpiękniej słowiki śpiewają na początku czerwca w Ogrodzie Botanicznym, niedaleko katedry św. Jana Chrzciciela. Gdy u nas zima, niektóre nasze słowiki (odpoczywające po długiej podróży nad górami, lasami i morzami) są ponoć zjadane przez mieszkańców południowego Sudanu, gdzieś tam nad dopływami górnego Nilu: to dla nich większy przysmak niż pieczony boski bocian. A my w tych mroźnych, cichych miesiącach zażeramy się słowami i słownikami. *Słowiczku mój! a leć a piéj!* Tylko nie do środkowej Afryki. Już lepiej na dwór cesarza chińskiego z baśni Andersena. Albo nad Odrę, do grodu Vratislava. Albo wpadnij do mojego pokoju-klatki.

Prezentatem
w garcie!

Urząd jak u Kafki

LEGNICA. Ociężały fiskus

Nie używajcie
długich słów!

TEATR. Premiera w przebudowanej Rekwizytorni

Zakłęte rewiry

WROCLAW. Czy komornik sądowy zagarnął prawie cztery miliardy stary

Komu jeszcze bije dzwon

WARSZAWA. Dymisja G [REDACTED] i K [REDACTED] przyjęta

Co w poprzednich zeszytach „Przecinka”?

W l. 1995-1997 w serii I (minusowej: na prawach rękopisu) ukazały się zeszyty 1-4 (paginacja ciągła: 1-120).

Przecinek zamieszcza jedynie *małe prozy i marginalia Jerzego Pluty* oraz materiały z jego domowego archiwum literackiego, czyli jest „pismem autorskim”, jedynym tego rodzaju pismem literackim w Polsce (a może w Europie? – na świecie chyba nie...).

W *Przecinku* wydrukowano: ponad 20 małych próz (m. in.: „Pojechać do Gliwic”, „Filiżanka z sześcioma kwiatuśkami”, „Co mi tam jakieś Sarajewo”, „Leżę sobie wygodnie w łóżku”, „Z patykiem na byka?”, „Teraz cię mamy”, „Od jakiegoś czasu”); 12 fragmentów ze zbioru **Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu**; noty i przyczynki o twórczości Henryka Berezy, Leopolda Buczkowskiego, Ernesta Dyczka, Michała Głowińskiego, Bohumila Hrabala, Tymoteusza Karpowicza, Ryszarda Milczewskiego-Bruna, Wisławy Szymborskiej, Rafała Wojaczka; notki o ok. 50 książkach; fragmenty listów czytelników *Przecinka*; i kilkanaście różnych not o Literaturze i Życiu. Ukazały się także materiały archiwalne: 3 listy i 2 rysunki Leopolda Buczkowskiego, dedykacja Bohumila Hrabala, ekslibrisy Stanisława Kortyki i Jacka Solińskiego, pocztówki Rafała Wojaczka, documenta Leszka Przyjemskiego oraz wycinki prasowe.

